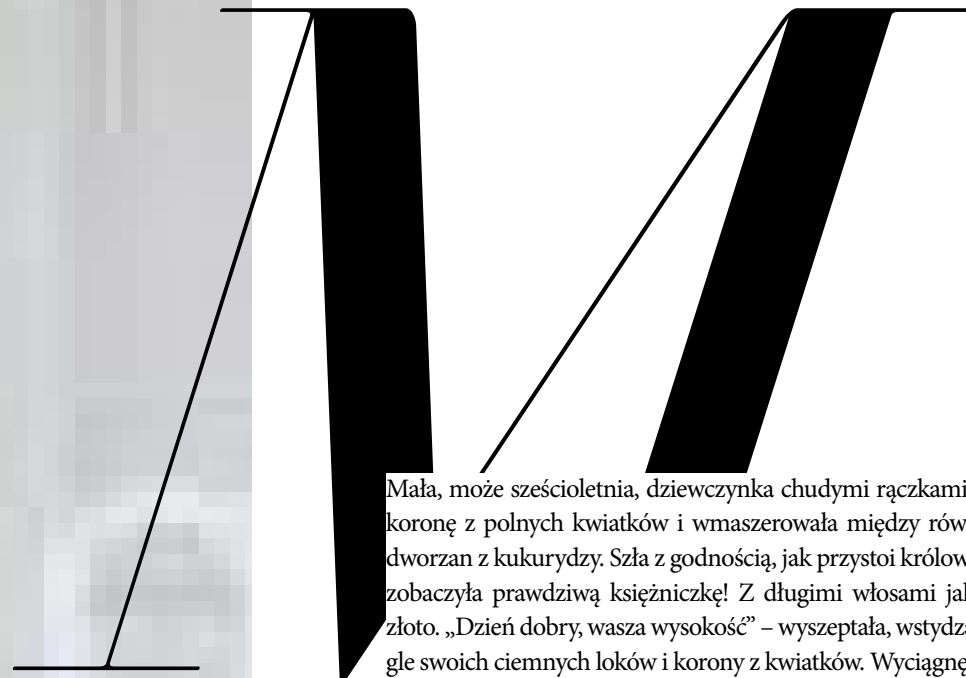
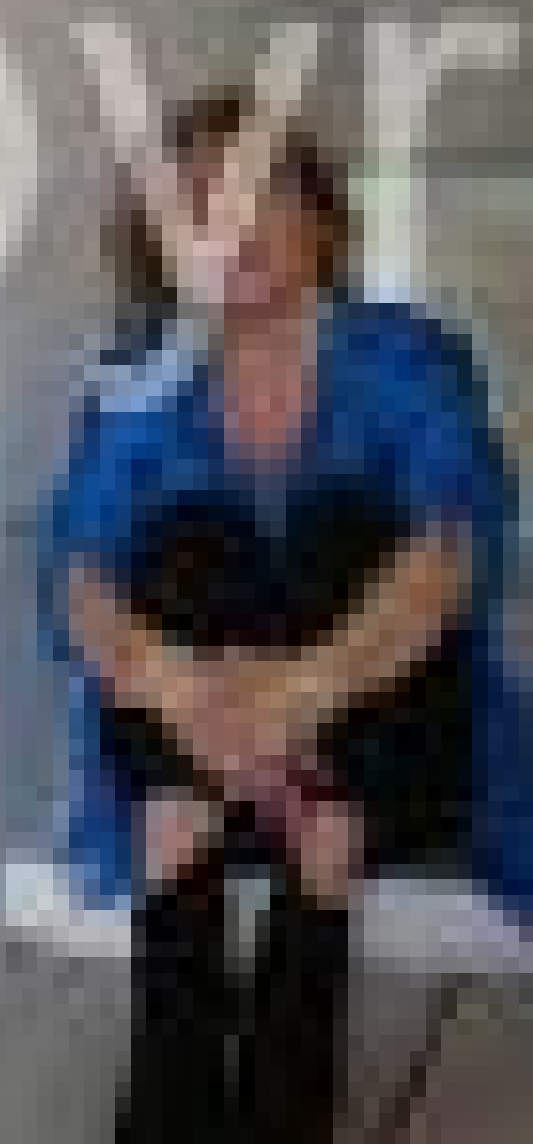


WE WSZYSTKIM DRZEMIE OPOWIEŚĆ

Katarzyna Grochola była skazana na bycie pisarką. Bo w jej rodzinnym domu nie było telewizora, ale było mnóstwo książek. Bo pięcioletniej Kasi mama czytała do snu Trylogię Sienkiewicza. Bo swoje pierwsze dzieło napisała w wieku trzech lat. Co prawda składało się tylko z jednego słowa, ale było odautorskim, świadomym przekazem.

Rozmawiała AGATA DOMAŃSKA



Mała, może sześciolatka, dziewczynka chudymi rączkami założyła koronę z polnych kwiatków i wmaszerowała między równe rzędy dworzan z kukurydzy. Szła z godnością, jak przystoi królowej. Nagle zobaczyła prawdziwą księżniczkę! Z długimi włosami jak płynne złoto. „Dzień dobry, wasza wysokość” – wyszeptła, wstydząc się nagle swoich ciemnych loków i korony z kwiatków. Wyciągnęła rączkę i... piękna kolba kukurydzy ze złotym włosom została jej ulubioną lalką. Bo Katarzyna Grochola nie miała zabawek. Miała za to coś lepszego: ogromną wyobraźnię. Pozwalała jej ona dostrzec lochy w starych kręgach studziennych, duszę w małym ptaszku i drużynę rycerską w kuzynach, z którymi spędzała wakacje. A gdy dorosła, dzięki tej wyobraźni potrafi wokół jednego zasłyszanego zdania zbudować całe opowiadanie.

Podobno karierę pisarską zaczęła pani wcześniej i burzliwie?

Wcześniej tak, ale burzliwie to nie. Przyszłam kiedyś z przedszkola, wzięłam kawałek kredy, kucnęłam i napisałam na podłodze w dużym pokoju słowo „dupa”. Byłam z siebie bardzo zadowolona, to był mój pierwszy utwór (śmiech). Miałam wtedy trzy lata, może cztery.

Wiedziała pani, co napisała? Bo czasem dziecko powtarza jakiś zapamiętany kształt, bez rozumienia...

Oczywiście, że wiedziałam! Przedszkolna edukacja rówieśnicza zrobiła swoje. Bardzo dumna oczekiwałam reakcji rodziców.

Była?

Rodzice kompletnie to zignorowali. To było mądre, bo typowa w tym wieku fascynacja takimi słowami zgasła. Ale wtedy byłam rozczarowana, bo wiedziałam, że powinna być jakaś afera – a tu nic.

Rodziców nie zdziwiło, że pani już pisze?

Może trochę, ale nie pamiętam fajerwerków z tego powodu. To było w sumie naturalne w domu, w którym książki były dosłownie wszę-

dzie. Koło mojego łóżka stała cała kolekcja Gałczyńskiego. I ja już wtedy miałam plan: kiedyś staną tu książki z moim nazwiskiem na grzbiecie. Jedna z moich koleżanek z podstawówki (miała na nazwisko Gałecka) powiedziała kiedyś: „Obie coś stworzymy. I będą te książki stały tutaj – Gałczyński, Gałecka, Grochola. W tej kolejności”.

Fajną była pani dziewczynką?

Fajną. Żywą, grzeczną i miłą, ale też niepokorną i nieposłuszną. Takie dziecko pociecha-zmartwienie. I byłam niezmiernie ciekawska. Zawsze uwielbiałam obserwować ludzi. Wie pani, ja wszędzie widzę historie. W podstawówce wieczorami zaglądałyśmy z koleżanką ludziom w okna i wymyślałyśmy, co dzieje się w ich domach. Atmosfera otoczenia, szczegóły wnętrza przekładały się nam na smak czyjego życia. Czasem widziałam drugie dno w piosenkach...

W sensie, że inaczej rozumiała pani tekst?

Jest taka piosenka, że Karolinka poszła do Gogolina, a Karliczek za nią. I ja zawsze myślałam, że Gogolin to mężczyzna, a Karliczek chce mu tym winem odbić Karolinkę. Albo choć zawrócić ją z drogi. I że piosenka jest o miłości, cierpieniu, trójkącie miłosnym i zdradzie (śmiech). Jako dzieciaki nawet kawały robiłyśmy ludziom literackie.

Czyli jakie?

Tuż przed wojną pisałam opowiadania o tym, jak wykurzać ludzi. Robiłyśmy więc i my kawały po tuwimowsku. Wchodziliśmy do sklepu żelaznego, gdy właściciel jadł obiad i zastępował go subiekt, i prosiliśmy o trzy wydania Staffa w przekładzie Mortkowicza z roku 1954. Subiekt mówił: „To jest sklep z artykułami żelaznymi”, a my: Przecież mówię, w przekładzie Mortkowicza”. Subiekt powtarzał: „Ale tu się nie sprzedaje książek”, a my: „No przecież mówię, że z roku 1954”. Subiekt wołał w końcu właściciela, który wzburzony pytał, o co chodzi, a my na to: „Poproszę śrubkę”. Robiłyśmy ten kawał wiele razy, a potem uciekałyśmy ze sklepu. Raz jednak w sklepie 1001 drobiazgów powiedziałyśmy sprzedawcy, że szukamy Staffa w przekładzie Mortkowicza i już zaczęłyśmy wewnętrznie chichotać, gdy sprzedawca powiedział: „Chwileczkę, ja to mam na zapleczu, pan Tuwim dla pana wczoraj zostawił”.

Załatwił was waszą własną bronią!

Na amen. Ale teatr Ateneum już się nie połapał, że jest ofiarą sztubackich żartów.

Teatr też wkręcałyście?

Dzwoniłam to teatru i mówiłam bardzo zdecydowanym głosem: „Dzień dobry, moje nazwisko Grochola, bardzo proszę o zostawienie na spektakl dwóch biletów”. Pani w kasie na to: „Ale ja nie mam

takiej dyspozycji”, na co ja mówiłam: „Proszę się upewnić, że są odłożone dla mnie dyrektorskie”. I odkładałam słuchawkę.

I co, były te bilety?

Były. Ta biedula w kasie nie wiedziała, kim jestem, mogłam być żoną Jaroszewicza czy coś... Tym bardziej że ja robiłam ten kawał prawie do tydzień i dziewczyny się przyzwyczyły, że dzwoni taka i trzeba zostawiać. Potem szłam do kasy, mówiłam: „Moje nazwisko Grochola, są dla mnie bilety” i pani mi je po prostu dawała.

Była pani trochę postrzelona...

Często ładowałam się w kłopoty. Pamiętam, że mając 17 lat, pojechałam z przyjaciółką na autostop. I chyba Bóg nad nami czuwał, że obie wróciliśmy całe i zdrowe, choć były przygody...

Z pisarskim dramatyзмом: krew w żyłach mroźące?

Dobrze się pani śmiać, ale wtedy tak, krew w żyłach nieźle nam zamarzała! Pamiętam, że uciekałyśmy po nocy z lasu. Pakowałyśmy po ciemku namiot, ręce nam się trzęsły, bo usłyszałyśmy gdzieś z krzaków: „Poczekaj, aż zasną, wtedy je załatwimy”.

Nieźle!

Nie wiemy, czy byli to złoczyńcy, czy przechodzący spacerowicze, którzy chcieli nas w ramach dowcipu przestraszyć, ale wolałyśmy nie sprawdzać. Wiałyśmy, na czubkach palców i po cichu, ale ile sił w nogach, z powrotem do szosy.

Czuła się pewnie pani bardzo dorosła - autostop, przygody itd...

Miałam 17 lat. Wtedy to było jakieś inne 17 lat. Nasze pokolenie chciało dorosnąć szybko i ja nie byłam wyjątkiem. Widziałam problem z mieszkaniem z rodzicami. Chciałam wyjść z domu, za-

***BYWAŁAM UPOKORZONA, NA DNIE,
CIERPIĄCA – ALE NIE PRZEGRANA.
I DOPÓKI ŻYJĘ, NIE BĘDĘ! PODDAM SIĘ
TYLKO RAZ, GDY BĘDĘ UMIERAĆ.***

cząć własne życie, robić wszystko po swojemu. Było to o tyle bez sensu, że nie wychodzi się w tym celu za męża, a ja wyszłam. Za wcześniej to było. Strasznie za wcześniej. Ale mam z tego małżeństwa fajną córkę, więc z perspektywy czasu nie ma tego złego...

Czyli pierwsza próba wejścia w dorosłość i pierwsza dorosła decyzja to było „wyjść za męża”?



Pierwsza, ale niezbyt dorosła. Ale która moja decyzja jest dorosła? Wydaje mi się, że wybieram świadomie, ale dalej popełniam błędy. Życie z błędów się składa. A potem z naprawiania tych błędów. I czasem fajnie wychodzi.

Te koleżanki z podstawówki, od wspólnych kawałów – macie jeszcze kontakt?

Oj, tak! Ja jestem bardzo wierna w przyjaźni. Przywiązuję się. Mimo rozlicznych zmian w życiu do dziś bardzo się przyjaźnię ze swoimi

kuzynami, z którymi spędzałam dzieciństwo. Spotykamy się regularnie, świętujemy chrzciny, urodziny, imieniny. Grywamy w brydża. Spotkamy się stosunkowo często, jak na odległość, jaka nas dzieli.

A przyjaciółki?

Mam! I to są przyjaźnie ponadczterdziestoletnie! Super mieć ludzi, którzy mnie pamiętają młodą i to, jak wyciągałam się z siedmiu przedmiotów w trzeciej klasie liceum. Wtedy uważałam, że są ciekawsze rzeczy niż budowa pantofelka i szkoła czasem kulała...

Czyli perfekcjonistką pani nie jest?

O nie, nigdy w życiu! Nie jestem perfekcjonistką i uważam to za swoją wielką zaletę. Ale z drugiej strony wszystko zawsze robię najlepiej, jak potrafię. I bardzo się angażuję w to, co sobie przedsięwzięmę.

Od małego?

Od małego! Raz mnie przynieśli do domu nieprzytomną. Miałam 7 lat, bawiliśmy się w przeskakowanie piaskownicy. Dałam z siebie wszystko i się przewróciłam, uderzając twarzą w obramowanie. Dlatego mam zniekształcone usta z jednej strony, ząb nabił mi się na wargę. Krew się lała... Innym razem ojciec wziął mnie ze sobą do teatru. Łomnicki grał w „Pluskwie”. W pewnym momencie staje na brzegu sceny i woła dramatycznym głosem: „Ludzie, czy nie ma tu nikogo, kto by mnie uratował?!”. I ja natychmiast byłam przy nim. A ojciec przez 13 rzędów biegł i przeproszał innych, że mu się wyrwałam.

No to mieli wszyscy ubaw!

No, mieli (śmiech). Ale ja się naprawdę angażuję. Nawet kiedy pracowałam jako sprzątaczką w Londynie, dostawałam od pracodawców liściki pochwalne: „Kate, jesteś najlepsza”. I dla mnie był to powód do dumy.

À propos kibli, to zdaje się, że naprawdę żadnej pracy się pani nie boi...

Nie boję. Bo podchodząc z pełnym zaangażowaniem, lubi się każdą pracę. I ja lubiłam wszystkie swoje prace, choć prawie żadna nie była związana z pisaniem. Pisać to sobie mogłam popołudniami i wieczorami. W dzień musiałam zarabiać na życie. Byłam redaktorką, korektorką, salową, magazynierką, dyrektorką składu celnego, sprzątaczką, pracowałam jako konsultantka w biurze matrymonialnym Czandra. Nie dałabym rady znieść robienia czegoś, czego nie lubię. Więc czyściłam kible i miałam pełną świadomość, że pokazuję Anglikom, że Polka jest najlepsza w czyszczeniu kibli.

Ale pani i tak wiedziała, że będzie pisać?

Ja nie „wiedziałam”, ja byłam pisarką.

Myjąc kible?

Tak, myjąc kible. I katalogując towary w magazynie. I myjąc podłogi w szpitalu. Byłam cały czas pisarką. To, że nie byłam wydawana i nie byłam czytana, nie przeszkadzało mi pisać i czuć się pisarką. Do czterdziestki pisałam do szuflady. Pisarzem nie jest ktoś, kogo się wydaje, tylko ten, który pisze. A ja pisałam. Nic nie było mnie w stanie strącić z kursu, jaki obrałam. Bieda, ciężka praca, problemy osobiste – to szło swoją drogą, a moje pisanie swoją. Ono było ze mną zawsze.

Bieda? Czy ja dobrze słyszę? Słynna pisarka i bieda?

Bywało mi ciężko, bo nie zawsze dokonywałam najmądrzejszych wyborów. I pakowałam się w niedobre związki. Nie wolno się pakować w niedobry związek, kiedy się jest odpowiedzialnym za swoje dziecko. Ale ja to robiłam. Dokładnie tak samo jak wtedy w teatrze, kiedy podbiegłam do sceny – tylko tutaj pobiegłam do mężczyzny.

MIŁAM RAKA, WIĘC NIEKTÓRE RZECZY PO PROSTU MI WIŚZĄ. ZUPELNIENIE NIE CHCE MI SIĘ ŻYĆ TAK, JAK INNI MYŚLĄ, ŻE POWINNAM.

Impulsywnie?

Na pewno pochopnie. Sprzedałam mieszkanie w Warszawie, wyprowadziłam się za mężem w nieznaną, zero własnych pieniędzy. Seria decyzji, które dziś odradzałabym każdej kobiecie. Bo nadszedł taki moment, że autentycznie byłam na dnie. Miałam 20 zł, nie było prądu, ogrzewania, zamrzła studnia, nie było wody w kranie i kiblu. Mój mąż mnie zdradzał, a ja poczułam, że koniec, nie mam siły, nie podniosę się, nic nie zmienię, nie mam do czego wrócić – po prostu nie chcę żyć.

I jak się wraca z takiej drogi?

Uratowała mnie książka. Musiałam ją niechcący potracić, wypadła mi pod nogi – a musi pani wiedzieć, że ja wierzę w różne znaki. Otworzyłam ją na chybił trafił i przeczytałam: „Jeżeli bez względu gdzie się znajdujesz, nie możesz znaleźć dziesięciu rzeczy, z których się możesz cieszyć, to znaczy, że nie żyjesz”. Wzięłam kartkę i ołówek, bo nie mogłam znaleźć długopisu, i zaczęłam wylizywać te dziesięć rzeczy.

Dziesięciu chyba raczej pani nie znalazła?

Znalazłam tę kartkę 40 lat później i się popłakałam. Wie pani, co wylizywałam? Mam kominek, w którym mogę napalić. Mam świeczkę, przy której mogę pisać. Mam kartkę i ołówek. Mam rękę, którymi mogę pisać. Moje koty wróciły na noc do domu, a więc nie zamarną. Moja córka jest na zimowisku, a więc nie uczestniczy w tym fatalnym momencie. Znalazłam kaszę, ryż i odrobnię oliwy i mogę psom ugotować jedzenie. Mam telefon, z którego mogę zadzwonić – jeśli zechcę. No i żyję.

Wygląda na to, że jest pani w życiu jednak wygrana, biorąc pod uwagę końcowe efekty...

Bywałam upokorzona, na dnie, cierpiąca – ale nie przegrana. I dopóki żyję, nie będę! Poddam się tylko raz, gdy będę umierać. Ale wtedy też nie będę przegrana, bo życie się kończy i tyle. Poza tym życie nie jest grą, tu nie ma wygranych i przegranych. Są ludzie, którzy się poddają. I tacy, którzy o coś walczą.

Pani jest z tych walczących.

Jestem. Ale walczę z coraz większą pokorą. Umiem już zrezygnować z głupiego celu.



Czyli człowiek mądrzeje, bo uczy się sobie odpuszczać?

To chyba jedna z tych naprawdę ważnych nauk życiowych – umieć odpuszczać. Kierować energię w to, co ważne.

Ale jak odróżnić ważne od nieważnego? Tu i teraz?

I to jest ta mądrość życiowa! Jak mówił cudowny psychoterapeuta, Andrzej Wiśniewski, życie w ogóle polega na tym, żeby odróżnić gówno od parówki.

Skoro mówimy o mądrym rozróżnianiu, to czym zwalali i zwalają panią z nóg faceci, którym się udało panią zdobyć?

Niczym. Nigdy żaden nie zwalił. No, może jeden, jak byłam bardzo młoda. Zakochiwałam się, owszem, rozum nawet traciłam, ale nie tak, żeby z nóg... Pamiętam jednego bardzo ważnego mężczyznę, który dotykając jednym palcem mojego ramienia mówił mi, co by było gdyby...

I trafił?

Chyba trafił – w tę moją chęć bajki, happy endu, królowny Śnieżki obudzonej pocałunkiem i we wszystkie inne moje tęsknoty i tęsknotki. A później Andrzej Wiśniewski powiedział: „Kasia, a co ty byś chciała? Żeby facet, który cię żegna na lotnisku w Warszawie, wynajął prywatny samolot i poleciał do Paryża, żeby tam być przez tobą i tam cię powitać?”

A dlaczego nie?

Tak samo zapytałam. A on na to: „Wiem od takiego faceta, bo on chce mieć kontrolę, jest psychopatyczny, realizuje własną potrzebę uwodzenia za wszelką ceną. Ma nadęte ego i chce być podziwiany za to, że robi takie rzeczy, ale w ogóle nie uwzględnia tego, że po podróży potrzebujesz odpocząć”.

Czyli stół kryształowy pantofelek kopciuszkowi...

Stół. I dobrze, bo w szkłe trudno się chodzi. Zrozumiałam, że cudownie jest zafundować komuś croisaanta w Paryżu albo pizzę we Włoszech, ale nie wtedy, gdy facet karmi tym swoje ego i chce przejąć kontrolę.

Ale może to robić z serca!

Może. Ale to się wie dopiero po jakimś czasie. Dziś, na szczęście, już chyba nie grozi mi zostanie obiektem takiej pożądlivosti.

Gdy staje pani przed lustrem, to co pani mówi: „Grochola, fajna jesteś” czy raczej: „Masz dziś to i to do zrobienia”?

Ja w ogóle nie gadam do lustra (śmiech).

Ale mówić o sobie chyba pani lubi?

A zna pani kogoś, kto nie lubi? Bywam nieopanowana w gadaniu i czasem paplam różne rzeczy. Wie pani, ja miałam raka, więc się niespecjalnie boję opinii na mój temat. Ważną rzeczą, jakiej nauczyły mnie choroba i dotychczasowe doświadczenia, jest to, że niektóre rzeczy mi wiszą. Zupełnie nie chce mi się żyć tak, jak inni myślą, że powinnam.

Nie czyta pani opinii o sobie? Każdy chyba to robi!

Ja nie. Nie interesuje mnie to i nie chcę się tym obarczać. Czasami mnie bolało, co tam ludzie wypisują – ale raczej wtedy, kiedy było to wycelowane w osoby mi bliskie. Bo jak się okazuje, mam poczucie misji.

Czyli że chce pani zbawić świat?

Tak, i to dosłownie (śmiech). Zostałam kiedyś podłączona do wykrywacza kłamstw. Tysiące opasek – na głowę, na rękę, na palec... I zadano mi takie pytanie, czy piszę dla pieniędzy, dla sławy, czy dla zbawienia świata. Pomyślałam: „No, teraz się skompromituję...”

I wyszło to zbawianie?

Tak. Poczulałam się jak dziecko przyłapanie na gorącym uczynku. To było wiele lat temu. Dziś już wiem, że świata nie zbawię, bo jedyną osobą, którą mogę zbawić, jestem ja sama.

A jednak ta misja w pani siedzi...

Siedzi. Ale chyba bardziej dlatego, że często dostaje listy od czytelników albo spotykam się z ludźmi, którzy mi opowiadają, co się zmieniło w ich życiu po tym, jak przeczytali książkę i dlatego, że przeczytali... Wiem, że to, co wykorzystali do zmiany i tak już mieli w środku – ale miło pomyśleć, że jest się zapalką pod gotowym do zapłonienia stosom zmiany...

Kopciuszek przeszedł od segregowania maku do momentu, w którym może decydować sam o sobie i jeszcze motywować innych...

Byłam kiedyś na wystawie Mariny Abramović. Był tam ryż wymieszany z gorczycą. Brało się garść tej mieszanki, sypało na kartkę i oddzielało te ziarenka od siebie.

Po co?

Po nic. Po zrobienie tego. Siedziałam i robiłam to przez 40 minut. Miałam 746 ziarenek ryżu i 560 ziarenek gorczycy. A potem wsypałam je z powrotem. Więc Kopciuszek nie jest bez sensu. Nauczył się oddzielać ziarno od plew i dzięki temu może mieszkać w zamku.

FOT. XXXXXX KATARZYNE GROCHOLE UBIERA DOROTA GOLDPOINT